

## Byliśmy pierwszymi maturzystami tej szkoły...



Klasa I liceum na lekcji śpiewu, rok szkolny 1947/48  
Siedzą od lewej: prof. Emilia Gadomska, Aleksandra Głazikówna, Henryk Baran-Ostrowski, Halina Orłowska, Teresa Kawala, Józef Stepien, Danuta Kulikówna, Bolesław Błotniak, Zenon Tomaszek, Tadeusz Kawala, Roman Siuda, Marian Kwiatkowski, Jan Wojtuszkiewicz, Jan Dudka, stoi: Stanisław Mądry

Z wielką satysfakcją zadumałam się dzisiaj nad II zjazdem absolwentów naszej Szkoły. Doczekałam czasów, gdy widzę ją w rozkwicie, gdy atmosfera przypomina tę z naszych szkolnych czasów (1944-49), kiedy to parami pod opieką Profesorów chodziliśmy do Kościoła, chór szkolny śpiewał na Mszy św., śpiewali tak jak teraz soliści szkolni. Pan Wincenty Onuszkiewicz (organista) z ogromnym zaangażowaniem i talentem prowadził chór szkolny i zachęcał do uczestnictwa w nim, mówiąc, że śpiewający – dwa razy się modlą i pięknieją. Sam śpiewał silnym głosem. Przypomniał mi go piękny śpiew obecnego Dyrektora Szkoły podczas Mszy św.

Miło mi widzieć tę Szkołę kierowaną przez ludzi reprezentujących tradycyjne zasady etyczne, pracowitość, operatywność oraz zdolności artystyczne. Tacy też ludzie ją zorganizowali – państwo Luterkowie – Regina (historyk) i Adam (polonista, pierwszy dyrektor szkoły). Adam Luterek był człowiekiem o niezwykłej energii. Uczestniczył w nauce na tajnych kompletach. Poznałam go w lipcu 1944 r. na tajnych egzaminach, był członkiem komisji, egzaminował z j. polskiego. A we wrześniu tegoż roku zobaczyłam go jako Dyrektora nowej szkoły. Był człowiekiem wymagającym, aż do przesady, żywym i pełnym energii. Jego polonistyczne zacięcie, dowcipny i ostry język, zdolności organizacyjne i pracowitość sprawiły, że już pierwszy rok szkolny po wojnie zamykał się przedstawieniem teatralnym, którego gatunek trudno było określić. Tak to się wtedy nazywało – przedstawienie – bo było tam wszystko. I sceny kabaretowe, inscenizacje fragmentów „Zemsty”, sceny mimiczne i wspaniała rola konferansjera, napisana przez pana Luterkę, a zagrana cudownie przez Rysia Szulakiewicza, ucznia klasy I. Był nawet balet. Uczennice tańczyły w czym miały, trudno było o jednolite kostiumy, ale było dużo radości. Dyrektor umiał wyławiać talenty. Dlaczego niedługo potem wyjechał? – nie wiem. Ale jego następca Dyrektor Antoni Rubaj kontynuował wszystkie kierunki działalności swojego poprzednika. Może nie tak żywo, ale konsekwentnie. Był to także przedwojenny nauczyciel, mgr filologii klasycznej, człowiek z zasadami, pogodny, przyjazny młodzieży, patriota, któremu bliskie były ideały: Ojczyzna, wiara, nauka, cnota, sztuka (szczególnie klasyczna). Taka atmosfera panowała za naszych czasów szkolnych. Na wolnych lekcjach lub przerwach śpiewaliśmy pieśni partyzanckie, między innymi:



Uczennice klasy III gimnazjum z księdzem Truchlem, wszystkie w białych szkolnych czapkach, siedzi syn dyrektora Rubaja – Dariusz

Teraz za drugiego okupanta  
jeszcze nam nie oschła jedna krew.  
Bo zdradziecko sięga nam do gardła,  
na tajgi Sybiru chce nas wieźć.

Omylił się Stalin, omylił się kat,  
na nic zdała się ta bołota.  
Za Sybir, za Zamek, za Katyń, za krew  
zapłaci Zapory piechota!

Wówczas Dyrektor Rubaj przychodził do naszej klasy z perswazją, żeby nie narażać siebie i szkoły w oczach władzy. Ale na szczęście ze szkoły nikt nie donosił, choć już w innych słyszało się o aresztowaniach np. harcerzy. Słowa tej pieśni przypominają mi, że „zapłacił” sam „Zapora” i jego oddział. Nadchodziły czasy tragiczne reżimu komunistycznego, aresztowań, skazań na podstawie sfałszowanych oskarżeń, wyroków śmierci na patriotów.

Dzisiaj z radością słyszymy, że młodzież znów śpiewa pieśni religijne i patriotyczne i że jest to tak oczywiste. My natomiast mieliśmy świadomość, że ówczesne „odzyskanie” wolności nie jest prawdziwe. Ale była wiara, że prawdziwą wolność też odzyskamy. Tej nadziei chyba nie miały już następne roczniki, aż do czasów Solidarności.



Uczennice klasy III bychawskiego gimnazjum, rok szkolny 1945/46  
Stoją od lewej: Jadwiga Gospodarkówna, Stefania Makarówna, Halina Orłowska, Aleksandra Głazikówna, dyrektor Antoni Rubaj, Genowefa Kozakówna, Danuta Kulikówna, Zofia Wielebianka, Maria Maliszewska. Siedzą od lewej: Janina Szalakówna, Teresa Kawalówna, Stanisława Kamińska

Dla nas, najstarszych absolwentów Szkoły, ten zjazd, który rozpoczął się tak podniosłą uroczystością w Kościele i dostarczył tylu wrażeń i wspomnień, jest przede wszystkim nawiązaniem do tradycji, o której tak pięknie napisała Maria Dąbrowska: *W tradycji jest poezja dawności płynącej z prawięka*. W tej uroczystości była dla nas „poezja dawności” sprzed prawie 60-ciu lat.

Wdzięczni jesteśmy także tym utalentowanym ludziom, którzy to wszystko przygotowali: księżom, dyrekcji, nauczycielom i młodzieży, a także obsłudze i wszystkim zatrudnionym przy organizacji zjazdu.

Młodszy uczestnicy zjazdu pytani o wrażenia, podkreślali, że są zadowoleni z uczestnictwa, spotkali kolegów wprawdzie zmienionych, ale się rozpoznawali (czasem dzięki identyfikatorom). Ileż było emocji, ileż interesujących informacji o losach poszczególnych osób (czasem także smutnych bo, niestety, lista absolwentów Szkoły nieobecnych na tym świecie jest długa), wymienionych adresów czy wizytówek (a buziaków!!!) pamiątkowych zdjęć, planów na następne spotkania.

Wszystkim ogromnej satysfakcji dostarczył także widok budynku Szkoły. Na fronton szkoły dawno już wrócił Orzeł w koronie. Gmach szkolny jest zadbane, wyremontowany, rozbudowany, unowocześniony, również racjonalnie zagospodarowane jest otoczenie, estetycznie zdobione. Nie tylko nauka, ale i sztuka dała tej uroczystości niezwykłą oprawę, która dostarczyła uczestnikom tyle wrażeń. Urzekły nas wyniki zajęć pozalekcyjnych prowadzonych w szkole: orkiestra dęta, chór, balety, gimnastyka. Dlatego mamy wielkie uznanie dla Dyrektora Henryka Dudziaka za zorganizowanie drugiego zjazdu absolwentów tej szkoły, za jego ogromny wkład pracy. Na koniec przypominają się słowa Cypriana Norwida: *Bo piękno na to jest, by zachwycało do pracy. Praca – by się zmartwychwstało*.

Aleksandra Stepien

Państwo Aleksandra i Józef Stepienowie są pierwszymi absolwentami bychawskiego liceum. Naukę w nowo zorganizowanym gimnazjum rozpoczęli we wrześniu 1944 roku. Małą maturę po ukończeniu gimnazjum zdali w 1947, a egzamin dojrzałości w 1949 roku. Pani mgr Aleksandra Stepien, przez rodzinę i przyjaciół nazywana „Lesią” jest emerytowaną nauczycielką języka polskiego, a pan Józef mgr. inżynierem rolnictwa. Są małżeństwem od 1953 roku i zamieszkują na stałe w Kraśniku. W krótkiej rozmowie podzielił się wspomnieniami ze swoich lat szkolnych.

Jak wyglądały początki bychawskiego liceum i kto zaangażował się w założenie tej szkoły?

Istotne zasługi w tym kierunku mają nauczyciele pracujący na tajnych kompletach, które to zaczęto organizować już w latach 1942-43 w Bychawie, Wandzinie, w Starej Wsi, Barakach, w Wysokiem i innych okolicznych wioskach. Przez te lata przeprowadzono nauczanie kilkudziesięciu dziewcząt i chłopców. Zajęcia odbywały się w domach mieszkalnych nauczycieli, domach rodziców oraz na plebanii. Można sobie wyobrazić, jak bardzo narażali swoje bezpieczeństwo nauczyciele, dlatego w tajnych lekcjach uczestniczyło jednorazowo zaledwie kilka osób. W miesiącu czerwcu 1944 r. zostały przeprowadzone egzaminy promocyjne w Bychawie, przez komisję, której przewodniczyła pani profesor Mally – Dyrektor Gimnazjum i Liceum im. Unii Lubelskiej w Lublinie. Towarzyszył jej nauczyciel geografii z Lublina. Na uwagę zasługują okoliczności, w jakich organizowano egzaminy w konspiracji. W Bychawie odbywało się to na plebanii. Uczniom przekazano informację, że przychodzą do kościoła, a potem pojedynczo udają się na plebanie, gdzie właśnie jednego dnia trwały egzaminy pisemne, a drugiego ustne. Zdawaliśmy z każdego przedmiotu – również religii. Egzamin był na dwu poziomach, do klasy drugiej i trzeciej. Wymagania były duże. Nie wszyscy zdali. Niektórzy mieli poprawki. Ci, którzy zdali, otrzymali zaświadczenia o pomyślnym wyniku.

Faktem jest, że już podczas nauczania młodzieży na tajnych kompletach powstała myśl o założeniu w przyszłości szkoły gimnazjalnej. Pomysł wsparli nauczyciele oraz światli mieszkańcy miasta i okolic. Grupa ta przy pomocy rodziców, księży tutejszej parafii oraz Zarządu Gminy, po przejściu frontu wojennego w lipcu 1944 r., przystąpiła do organizacji gimnazjum w Bychawie w budynku szkoły powszechnej. Patrząc na swoje świadectwo szkolne z roku szkolnego 1945/1946 widzę na nim pieczęć: Samorządowe Gimnazjum Koedukacyjne im. Ks. Ant. Kwiatkowskiego w Bychawie, potem nazwisko Patrona zniknęło. Jednym z głównych organizatorów tej szkoły był Adam Luterek (pierwszy dyrektor) wraz z żoną Regimą, oboje wcześniej uczestniczący w tajnym nauczaniu okupacyjnym. Tu należy koniecznie sprostować błąd w „Dziejach Bychawy”

Dokończenie na str. 2

## ...rocznik 1949

Dokończenie na str. 2

s. 201, powielany i w innych opracowaniach, gdzie wymienia się Władysława Luterka, tymczasem chodzi o Adama Luterka, głównego organizatora i dyrektora bychawskiego gimnazjum. (Władysław Luterek zaś był dyrektorem banku w Bychawie, najstarszym synem społecznika Jana Luterka, kierownika „Jedności”).

Kiedy rozpoczęła się nauka?

Lekcje w szkole rozpoczęliśmy się około 15 września 1944 roku. Jeszcze dwa miesiące wcześniej w szkole stacjonowały wojska niemieckie, więc można sobie wyobrazić, w jakich warunkach startowało gimnazjum. Brakowało wszystkiego: krzesel, stolików, i potrzebnego sprzętu. Uczniowie, którzy mieszkali blisko, idąc na lekcje na prośbę dyrekcji przynosili krzesło z domu. Na początku nie było dzienników, zeszytów, podręczników. Książki poszukiwane były u znajomych i pożyczane od tych, którzy przechowali je, mimo nakazanej przez okupanta konfiskaty. Na naszych oczach powstawała biblioteka szkolna. Książki pochodziły z darów. Przeprowadzano zbiórki książek wśród mieszkańców. Nowych było bardzo mało. Najczęściej spotykaliśmy egzemplarze z nazwiskiem Anny Skawińskiej, z rodziny ziemian, właścicieli Woli Dużej, która podarowała szkole swoją bibliotekę. Ona podarowała szkole swoją bibliotekę.

W tym roku zorganizowano dwie pierwsze klasy, jedną drugą i jedną trzecią klasę nauczania dziennego oraz jedną klasę pierwszą dla młodzieży starszej, która w ciągu jednego roku szkolnego przerabiała w trybie popołudniowym program klasy I i II. Najbardziej liczne były klasy pierwsze, klasa druga liczyła ponad 20 osób, a w klasie trzeciej było 12 uczniów, którzy w następnym roku przenieśli się do innych szkół. Według informacji z „Dziejów Bychawy” w 1944 roku naukę rozpoczęło w sumie 182 uczniów.

Kto uczył w pierwszych latach istnienia szkoły gimnazjalnej?

Był to oczywiście wspomniany wcześniej organizator i pierwszy dyrektor szkoły – mgr Adam Luterek, który uczył języka polskiego i niemieckiego. Po jego odejściu obowiązki dyrektorskie przejął mgr **Antoni Rubaj** (łacinnik – filolog klasyczny), natomiast poloniści się zmieniali. W klasie III uczył nas Wincenty Mączka, w IV mgr Jeżowski, w I liceum – dr Jan Tokarski a w II liceum mgr Józef Lulek, który doprowadził nas do matury. Historię wykladała mgr Regina Luterek oraz Jadwiga Emilianowicz, nauczycielka pochodząca z Lidy, niedaleko Nowogródka, która pracowała z nami jeszcze na tajnych



następny numer Głosu Regionalistów ukaze się we wrześniu br.

kompletach. Z grona pedagogicznego należy jeszcze wymienić: dr. medycyny Stanisława Gutka, który uczył nas w liceum biologii i chemii, mgr Janinę Żelezikową – matematyczkę, Władysława Grudnia uczącego fizyki, Kazimierza Więckowskiego – studenta seminarium, który uczył religii oraz języka francuskiego. Języka francuskiego uczyła również Stanisława Skawińska, była właścicielka majątku w Woli Dużej. Jadwiga Walczakówna – fizyki, Emilia Gadomska śpiewu i gimnastyki, a organista Wincenty Onuszkiewicz prowadził chór szkolny. Religii uczyli w kolejności: ks. Truchel, ks. Jan Soroka, ks. Zbigniew Starnawski, ks. Ilcewicz.

Które koleżanki i kolegów klasowych Państwo pamiętają?

Do drugiej klasy licealnej czyli maturalnej uczęszczało nas 13 osób. Byli to: Henio Baran, Bolek Błotniak, Jasio Dudka, Aleksandra Głazik, Tereska Kawała, Tadeusz Kawała, Kazia Kostrzewa, Danusia Kulik, Marian Kwiatkowski, Halinka Orłowska, Roman Siuda, Józef Stępień i Jasio Wojtuszkiewicz.

Wszyscy w 1949 roku ukończyliśmy Liceum Przyrodnicze i zdaliśmy egzamin dojrzałości. Większość zdała też egzaminy wstępne na studia. Filologię polską ukończyła Aleksandra Głazik, natomiast chłopcy ukończyli studia na kierunkach: Henio Baran i Jasio Wojtuszkiewicz – stomatologię, Bolek Błotniak – weterynarię, Jasio Dudka – budownictwo, Tadeusz Kawała – filologię francuską, Marian Kwiatkowski i Roman Siuda – medycynę, Józef Stępień – rolnictwo.

Długo utrzymywaliśmy bliskie kontakty, ponieważ pochodziliśmy prawie wszyscy z tych samych okolic, spotykaliśmy się w czasie wakacji, ferii, w niedziele, o czym świadczą zachowane zdjęcia. Z Tereską Kawałówną mieszkaliśmy na jednej stacji w czasie studiów [opowiada pani Aleksandra Stępień]. Jej śmierć w wieku 29 lat na skutek uczulenia po antybiotyku, była dla nas wstrząsem psychicznym. Do dziś odwiedzamy ją na cmentarzu. Zostawiła dwoje małych dzieci. Na czerwcowym zjeździe w b.r. była natomiast Danusia Kulikówna, nazywana „Czerwonką”, najbliższa nasza przyjaciółka, o dzień ode mnie młodsza, z którą przyjaźniliśmy się od gimnazjum, nasza drużna weselna. Była zaufaną dyrektora Rubaja. Kiedy przyjeżdżali do szkoły różni działacze młodzieżowi, a my nie chcieliśmy się zapisywać do organizacji, to zawsze ofiarowywała się Dyrektora zapytać, czy to konieczne. Dyrektor Rubaj rozumiał nasz opór. Długo przynosiła odpowiedzi, że nie. Gdy Związek Młodzieży Polskiej powstał nie wszyscy się zapisali.

Oprócz naszego małżeństwa doczekaliśmy się drugiego klasowego – Tadeusz Kawała ożenił się z koleżanką z klasy – Haliną Orłowską.

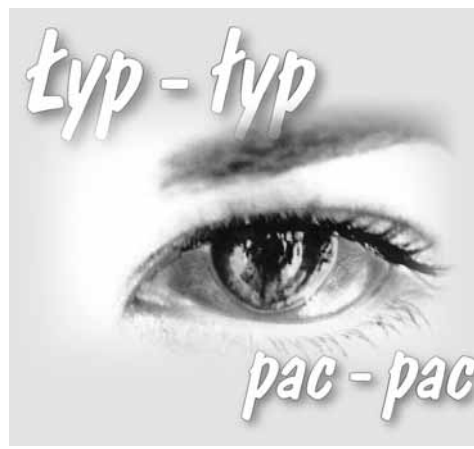
Spotykamy się także z Kazią Kostrzewianką-Krzysiakową, która też już jest samotna, jak i Danusia.

Kogo ze swoich kolegów spotkali Państwo na II Zjeździe Absolwentów?

Na zjeździe było nas czworo z klasy. Oprócz nas była wspomniana wcześniej Danusia Kulik, obecnie mieszkająca w Lublinie oraz Tadeusz Kawała z Warszawy. Przykre jest, że z naszej klasy już 7 osób nie żyje. Stąd spotkaliśmy się w tak skromnym gronie. Ale oprócz nas było wielu kolegów z młodszych klas i znajomych, więc zjazd był naprawdę wspaniałym spotkaniem po latach.

Dziękuję Państwu za bardzo ciekawą rozmowę!

Rozmawiała Monika Głazik



## Szarańcza

*Locuta migratoria* czyli szarańcza wędrowna z nadrodziny szarańczaków, groźny szkodnik upraw, głównie zbóż. W ciepłych strefach klimatycznych występuje w formie stadnej, a więc w olbrzymich chmarach wędrujących i żerujących wszystko, co napotyka na polach uprawnych, i w formie samotnej, nie wędrującej. Tę spotkać można i u nas w Polsce. Do tejże samej nadrodziny entomolodzy zaliczają koniki polne, przeciwko czemu ja już stanowczo protestuję. Bo gdzieś tam chmarnej, żarłocznej szarańczy do poetycko cykających koników polnych, tak wiele razy opiewanych wierszem! Nic tak pięknie nie komponuje się z upalnym latem i łąką, jak właśnie ten odgłos cykania!

(„W sierpniowym gorącu tysiącem srebrnych nożyc szybko strzygą ciszę” – to Leopold Staff.)

Wbrew temu zoologicznemu wstępowi część dalsza tekstu nie będzie o owadach. Bowiem niszczyielski instykt owadziej szarańczy to walka o byt, o przetrwanie, bezrozumny popęd, który właśnie wiele tłumaczy i usprawiedliwia. Tymczasem ludzka *locuta* (tu muszę zaznaczyć, że chociaż łaciński rzeczownik i jego polski odpowiednik jest rodzaju żeńskiego, to jednak zdecydowanie bardziej odnosi się do mutacji męskiej młodszych roczników) atakuje świadomie, z wyrachowaniem, często dla samej pasji niszczenia. Też działa stadnie, jak owadzia, ale bywa, że i skrycie, złośliwie, w pojedynkę. Podstępnie i celowo powyrywane czy zdeptane kwiatki na miejskich rabatkach – to robota wędrownego stada, przemierzającego się deptakiem od sklepów alkoholowych i pijalni piwa, czy z No Name, Dragona, do parku, gdzie przecież tyle możliwości wandalizmu! Zwłaszcza nocą. A to zniszczyć ławkę, a to poprzetracać kosze na śmiecie (kopać, kopać do skutku, aż się rozleczą lub wypatroszą), a to wyrwać tuje czy inne iglaki, można jeszcze pod osłoną nocy ukraść bratki czy róże z miejskiego kwietnika, ba, nawet z cmentarza.

Duże pole do popisu głupoty, ignorancji i społecznej wrogości. Przykłady? Zniszczone, porysowane ostrym narzędziem przystanki, kolumny przed wejściem do koś-

cioła (sic!) od strony zachodniej głęboko wyżłobione szczyrkami, z pewnością dzieło niewinnych (!), małych dzieci, połamane ławki, przewrócone znaki drogowe, wyrwane sadzonki drzewek. Wszystko to zakupiono za nasze wspólne pieniądze, więc kto niszczy, ten działa przeciw sobie. Jednak do pewnej kategorii ludzi trudno trafić z takim argumentem. Bo im bardziej obskurniej, głupiej, tym im weselej. Niech będzie głupio, byle było *śmiesznie*.

I pewnie *śmiesznie* było także tym, którzy w trzy dni po odstonięciu popiersia ks. A. Kwiatkowskiego – zniszczyli, deptając, zasadzone tu kwiatki, a kamienną głowę człowieka, któremu nie dorastają nawet do pięt, „ustroili” zeszcłymi badylami.

To już coś więcej niż standardowa głupota, to profanacja! Ale czy ktoś z tych sprawców był i w ogóle jest zdolny do chwili auto-refleksji nad swoim zachowaniem, zdolny zamyslić się nad historią, nad wielką rolą w niej tego człowieka, nad dziełem Jego życia?! Można spytać młodzieżowym slangiem: Ludzie czy wy coś kumacie?!!

Zabawa, dowcip, radość życia to przywilej, cecha a nawet atrybut mądrej młodości. Alkohol pity z umiarem czy dla ochłody, a więc z kulturą, nie bywa powodem awanturnictwa i chamstwa. Niestety, prawda jest najczęściej inna, co obserwujemy w wulgarnym i agresywnym zachowaniu wielu młodych, właśnie pod wpływem wlewanego w siebie alkoholu czy narkotyków.

Wierzę, że ten ubolewania godny przejaw niedojrzałości, to wybrzyk tylko jednej osoby, wierzę również, że zdecydowana większość mieszkańców w tym młodzieży ocenia to zgodnie z kryteriami moralności i kultury. Ta większość bowiem właściwie kategoryzuje zasługi księdza społecznika, który z takim oddaniem pracował dla bliźnich, zwłaszcza ubogich. A miłość każdego bliźniego bez wyjątku, choćby w odniesieniu do sprawcy(-ów) tego żałostnego incydentu, może być, jak uczy życie, bardzo trudna...

**Żyjemy we wspólnocie społecznej i źle by się stało, gdyby lekceważenie pewnych historycznych wartości i ludzi, którzy je uosabiali, przypisywano wszystkim mieszkańcom Bychawy, którzy, jestem pewna, takie ekscesy potępiają.**

Szanujmy ludzi prostych, zwykłych, nie tolerujemy jednak wokół siebie chamskiego prostactwa. Szanujmy tych, którzy czują, myślą, postępują uczciwie i współtworzą to, co dobre, tyle, na ile potrafią. Doceniają wysiłek i starania władz miejskich o czystość i porządek, szanują pracę innych, którzy ten porządek utrzymują. Nie przeszkadzają, nie brudzą, mając jednocześnie prawo do własnej opinii.

I rozumieją, że człowieka od bezrozumnej szarańczy dzieli ogromna przepaść. Ale to w dużej mierze zależy od niego samego.

Maria Dębowczyk

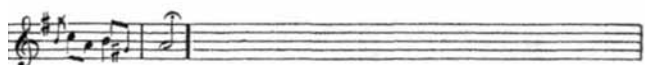
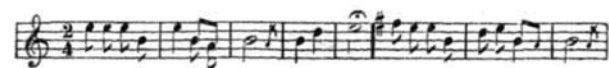
## Nutka z lamusa

(od Gałęzowa i Woli rok 1960)

GĄSKI NA WODĘ!

Hula, hula, moje gąski na wodę  
szacują ludzie moją urodę.  
Żeby uroda cnotę straciła,  
Nie taką bym se panienko(a) była.

Lesie, lesie, – rozwijaj że się,  
zieloną gałęzёнką  
przyjeżdżaj Jasiu, przyjeżdżaj Jasiu  
Ze swoja rodzinёнką



wg Kolberga